

Kundel



GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Kundel

Cóż u diabła starego? Dlaczegoż nie mam i ja zrobić kariery? — zawołała Resia, ciskając obszarpaną książkę na ziemię.

Zerwała się z obdartej sofy, a pociągnawszy falbaną szlafroka kawał sprężyny i pęk siana, poskoczyła ku oknu.

Ładnie tam było na dworze, choć trochę jeszcze chłodno. Resia nie uczesaną głowę wytknęła przez okno, a wiatr wiosenny rozwiewał jej kręte, czarne włosy. Ona od czasu do czasu dmucha silnie, chcąc odpędzić natrętne kosmyki, które kręciły się koło jej wybladłych warg lub czepiały się długich rzęs i wzrok zasłaniały.

Była to jeszcze młoda dziewczyna, pysznie zbudowana, brudna i pokryta piegami. Stanowiła najwytworniejszy okaz wesołych cór miasta — i odznaczała się szczytną głupotą, dobrym sercem i zamilowaniem do pieczonej gęsi.

Lubiła przy tym pieniądze (była Żydówką), nowe buciki, karmelki i zwykle w zimie o szarej godzinie piekła sobie na trzech patyczkach jabłka, kiwając się i mruczając jakąś monotonną piosenkę. Umiała czytać, lecz za to nie umiała pisać, jadła chleb ze szmalcem na obiad, a potem, nie umywszy rąk, nacierała się „chyprem”.

Pałała papierosy i czesała się raz na tydzień, była antysemitką w całym słowa znaczeniu, a na kwestię emancypacji kobiet nie zapatrywała się wcale.

Dnie całe leżała na swojej sofie, paląc papierosy, dopiero z nadejściem zmroku budziła się ze swej bezczynności.

Wstawała wtedy, mruczając i plując po kątach i szczoteczką od zębów czyściła buciki, a bieliła twarz kredą w braku pudru. Potem — usiadłszy przy oknie, czekała na... Kundla.

*

Kundel ten był obecnie jej wielką miłością. Był to mały, potwornej brzydoty chłopak, syn jednego ze znaczniejszych urzędników miasta. Przysłowiowo brzydki, był dziwnym okazem jakiejś brutalnej zuchwałości i bezczelnej arogancji, którymi w domowym zaciszu uzyskał słodkie miano... Kundla. Wielka jego głowa, pokryta rozwichrzoną, olbrzymią czupryną, miała kształt prawie czworograniasty; wyraz małych oczek i ust wydętych, obrosłych sterczącym, rudawym włosiem, znamionował upór, przewrotny spryt i jakieś niczym nie ukrócone zuchwałstwo. Trzymał zwykle ręce w kieszeniach od spodni i nosił małoruskie koszule, najczęściej rozpięte na piersiach. Mówił powoli, zacinając się na syczących spółgłoskach i miał zupełnie odrębny sposób wyrażania się, który trwogą przejmował słuchaczy.

W domu był postrachem matki i sióstr, dwóch młodych dziewczynek, słodkich i nieśmiałych, tulących się do kątów, gdy Kundel — podczas nieobecności ojca — zjawiał się w salonie lub w jadalni. Matka sama podnosiła ku niemu błagalnie oczy, w których nierzadko przewijała się łza...

Lecz Kundel uragał wszystkiemu. Mówił, że jest „wyższy nad świat cały”, i rozwalając się na kanapie przetrawiał, ziewając, resztę nocnych pohulańek i pochłoniętego piwa. Zrodzony z rodziców szczytnie „bürgerских¹” — według jego słów własnych, nie wia-

¹bürgerski (z niem.) — mieszczański. [przypis edytorski]

domo skąd rozwinął w sobie naturę nocnego włóczęgi i junakierę bursza². Całe dnie włóczył się w przydeptanych pantoflach po czyściuchnych pokojach, wytrząsając popiół z fajki na dywany lub fotele. Gdy mu ktokolwiek zrobił jaką uwagę, odpowiadał chrapliwym głosem:

— Odsuń się, bo cię psom oddam na pożarcie, a krwią twoją drzwi mego przedpokoju pomalować każe!

Miał lat dwadzieścia i skończył dwie klasy. Nie było siły ludzkiej, która by go skłoniła do powrotu do szkół. Uczył się „prywatnie” — doprowadzając zwykle nauczycieli do rozpaczki lub do dzielenia z nim nocnej rozpusty.

Życie nie miało dlań już żadnych tajemnic, zakosztował wszystkiego i od lat pięciu czepiał się spódnicy kobiecych, pełen przewrotnej żądzy, z której sobie doskonałą zdawał sprawę.

Doszedłszy do lat dwudziestu, był przeżytym i znudzonym starcem, gdy wracał do domu nad ranem, twarz jego miała odcień ziemisty, a oczy czerwone i spuchłe.

Ręce mu drżały, kąciki ust miał wiecznie zaślinione. Gdy siadał do obiadu, nie umyty, nie uczesany, i wyciągał trzęsące się palce po wino lub cytrynę, cieszył się widocznie z nerwowego drżenia, które mu ramię targało.

— Łapcie mi się trzęsą! Co? — pytał, spoglądając tryumfalnie po obecnych, którzy wzruszając ramionami, zdawali się zapominać o jego obecności.

Przyzwyczajono się bowiem w domu do tego Kundla — na pół pijanego, uważającego jadalnię rodziców za przedłużenie lokalu knajpowego. Jeden tylko ojciec umiał poskromić tę ohydłą zuchwałość. Przy nim Kundel zapinał na piersiach koszulę, schodził do obiadu o właściwej porze i zamieniał tradycyjne pantofle na głębokie kalosze. Gdy spodziewano się gości, Kundel obcinał paznokcie u lewej ręki i usiłował zaprowadzić porządek we włosach. Był to rozkaz ojca, rozkaz wypowiedziany dobitnie urywanym suchym tonem.

Głos ten oddziaływał na chłopca przynajmniej drobiazgowo i pozornie.

— Stary ma fajgle, trzeba go nabrać!

A „nabierania” tego, więcej aniżeli zwykłej zuchwałości, bała się szczególnie matka.

Kundel bowiem, znając słabą stronę ojca, gdy zbyt wiele narobił długów i za często był proszony do cyrku³ — stawał się nagle melancholijny i odczuwał potrzebę poprawy. Pragnął wtedy czystej bielizny, mydła, książek naukowych i trochę szacunku ludzkiego.

Wchodził do pokoju ojca na palcach, ucierał nos chustką, sługom pozwalał przejść spokojnie, a siostry głaskał po głowie, nazywając je pieśczołliwie „małpisonami”.

Dozwalał sprzątać w swoim pokoju i przewracać materace na drugą stronę, fajkę ostentacyjnie zawieszał na gwoźdźniku i palił damskie papierosy, mówił cieniuchnym głosem, dobierając słów, a oglądając lampę deklarował, że „już się wszystko skończyło i on, Dyńdzio, zabiera się do pracy...”

Ojciec zwykle z początku sceptycznym wzrokiem śledził zmianę w postępowaniu syna. Powoli jednak dawał się ludzi nadziei. Kto wie — może wreszcie coś się zbudziło w tej głowie mózgu pozbawionej, w tym sercu zda się zatopionym w kale rozpustnych uciech.

— Patrz, duszko — mówił do żony, która z robótką w rękę dozorowała zabawy dwóch dziewczynek — ot, zdaje się, że tam na gorze jakiś porządek panować zaczyna...

Dyńdzio zajmował dwie facjatki⁴ położone na drugim piętrze i domowi, chcąc uniknąć wymówienia imienia najstarszego z rodu, nazywali *locum*⁵ Kundla „górz”.

Matka jednak wzruszała ramionami.

— Pewnie coś nabroił lub chce coś uzyskać — mówiła smutnym głosem.

— No!... kto wie! Kto wie! — protestował ojciec — może się wreszcie upamięta i przestanie zatruwać nam życie.

Matce łzy stawały w oczach.

— Daj Boże! — odpowiadała wzdychając.

Lecz nie łudziła się wcale.

²bursz (z niem.) — członek korporacji studenckiej. [przypis edytorski]

³cyrkuł — posterunek policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

⁴facjatka — pokój na poddaszu. [przypis edytorski]

⁵locum (z łac.) — mieszkanie. [przypis edytorski]

Wiedziała, co znaczy to „upamiętanie”. Wszakże i ona niejednokrotnie została w ten sposób przez syna zwiedziona. Na wskrós religijna, mająca w sobie ślełą wiarę i poszanowanie praktyk religijnych, konfesonalem, kazaniem chciała wpłynąć na rozhukanego chłopca. Kundel od razu zrozumiał, że z tej naiwnej i pełnej adoracji duszy — może wyciągnąć dla siebie korzyści.

I powoli wprowadził system dziwny, a przyjęty przez matkę, która w żarliwości swojej stała się źródłem wyzysku.

Każdą wysłuchaną mszę, każdą spowiedź, otrzymane rozgrzeszenie, odprawioną pokutę, każdą bytność na kazaniu — opłacała pewną umówioną kwotą pieniędzy.

Gdy Kundel zanurzył swój rozczochrany łeb w cienie konfesonala, biedna kobieta padała na kolana, modląc się żarliwie o „oświecenie nieszczęśliwego”.

Lecz ten „nieszczęśliwy”, plotąc księdzu niestworzone brednie, wyjawiając wątpliwości, od których włosy spowiednikowi stawały po prostu na głowie, obliczał w myśli, ile to nocy bezsennych za otrzymane od matki pieniądze w murach knajpy przepędzi.

I długo włóczył się tak po kościołach, będąc postrachem księży, którzy zobaczywszy przystępującego do krtek Kundla, czuli krew bijącą im do głowy. Na mszach porannych widzieć go można było drzemiącego obok rozmodlonej matki, z oczyma zaczerwienionymi jak u królika, z rękami brudnymi i koszulą pomiętą.

Czasem, wpadłszy w dobry humor, „fiksował jaką zamodloną dewotkę” lub gasił świece defilującemu bractwu.

Wreszcie matka zrozumiała, że każda spowiedź Kundla, każda msza jest dla chłopca tylko źródłem wyzysku, a pieniądze otrzymywane dają mu możliwość pograżania się w coraz większej rozpuszcie. Zamknęła kieszeń i od tej chwili, gdy Kundel zapowiadał poprawę, wiedziała, czego się trzymać w takich razach.

Ojciec łudził się jeszcze. Gdy Dyńdzio z wielką pompą wchodził do jego kancelarii i zabierał librę⁶ papieru, kilka piór i pakę bibuły, ojciec pytał go, w jakim celu bierze te foliały.

— Idę pracować — będę robić notatki z *Naukowych podstaw krytyki literackiej* Hennequina⁷ lub ocenię którą z tragedii Sofoklesa — odpowiadał Kundel, stawiając ostrożnie nogi obute w stare kalosze, które jak dwie plamy rozlewały się na jasnym tle dywanu.

— Sofoklesa? — pytał ojciec.

— Hm!... tak, jeśli będą tego warte. Nie wiem jeszcze. Być może, iż sam coś napiszę, bo coś mi się w głowie... kielbasi! Zresztą, pracować będę do rana. Dobranoc ojcu!

I wychodził powłócząc nogami, a zamknąwszy drzwi za sobą, uśmiechał się złośliwie:

— Stary jest wzięty... pojutrze można się lansować — a beknie, i to dobrze!

*

Lecz Kundel miał także w głębi duszy swojej kącik poetyczny, w którym rosła błękitna niezabudka sentymentalizmu. Kundel był kochliwy i jak wszyscy „przeżyci” — w miłościach swoich dążył do ideału. Ideał był to zupełnie odrębny od ideału Danta i Petrarci, lecz mimo to nie przestał być ideałem, w którym Dyńdzio czerpał natchnienie i siłę do życia. Dyńdzio cieszył się takim wstrętem mieszkanek miasteczka, że dość było dla kobiety ujrzeć na ulicy Kundla, aby mieć humor popsuty na dzień cały.

Kundel nie martwił się tym wcale. Nienawidził kobiet dobrze ubranych i jako tako wychowanych. W knajpie po opiciu się odpowiednią ilością piwa — brutalnie zdzierał z każdej „damy” kryjące obsłony i z cynizmem najwyższym obrzucał ją wyrazami pogardy i szyderstwa. Dla niego istniała tylko natura w postaci rozczochranych dziewczyn, którym jego małoruska haftowana koszula imponowała, a plugawy żargon przypominał ciemne zaułki, wśród jakich młodość spędziły.

Do takich więc „idealów” Dyńdzio pisywał ody, maczając palec w piwie i kreśląc słowa na marmurze stołu. Gdy blade światło kładł im wszystkim na czoła zielonawe, trupie tony — Kundel deklamował:

⁶libra — sto arkuszy papieru. [przypis edytorski]

⁷Hennequin, Emil (zm. 1894) — francuski krytyk literacki. [przypis edytorski]

Niekiedy blada Wenus z mdławym blaskiem w oku
Schodzi tu na ziemię w latarnianym zmroku.

Dziewczyny zanosily się od śmiechu.

Ten Kundel! A niechże go! A to je wyzywał! Lecz on przygasłymi oczami spoglądał na nie jakby ze smutkiem i sącząc z kufła resztki piwa, bełkotał:

I uniesioną suknią wpeł bezmyślnie szasta,
Ukazując światu brudnych pończoch parę...

Zwykle Dyńdzio kochał którąkolwiek z tych dziewczyn, kochał po swojemu, tyraniując i maltretując bez litości. Gdy przyszła kolej na Resię, Kundel odmienił swój system postępowania. Resia przypadła mu do gustu i cygańska natura kobiety zła się wybornie z brutalnym usposobieniem chłopca. Podbita jego trywialną, a chwilami znów sentymentalną namiętnością, Resia zachwycała się Dyńdziem i dozwalała mu na wszelkie wybryki.

Były chwile, w których Kundel nazywał Resię „nikczemną Żydówką” — po to, aby po kwadransie nadawać jej miano Fryny⁸ i wycinać z jej wykoszlawionych bucików greckie sandały. Po czym mówił jej wiele o potrzebie kształcenia umysłu i obiecywał dać jej nauczyciela angielskiego, gimnastyki i gry na cytrze. Najczęściej następowała później mała nauzka moralna, w której Kundel wykladał zdziwionej i drapiącej się w łydkę Resi, że są pewne warunki, z którymi szanująca swą godność kobieta liczyć się powinna, a właśnie ona zdaje się urągać społeczeństwu i wskutek tego może doznać w przyszłości zmartwień i upokorzeń. On, Dyńdzio — jest wprawdzie wolny od przesądów i bez kwestii „szanuje” w niej kobietę, ale właśnie dlatego pragnie, aby cały świat ją szanował. Gdy Resia opornie przyjmowała podobne słowa i w trakcie podobnej perory oddawała się sportowi dłubania szpilką w uchu, Kundel dla poparcia swych argumentów uderzył ją pięścią w głowę, co wywołało oczekiwany skutek.

Kundel obdarzał Resię prezentami i od czasu do czasu znosił do mieszkania swej ulubionej najdziwaczniejsze przedmioty pochwyte na kredyt po sklepach, w których przez wzgląd na rodziców kupcy nie śmieli Dyńdziowi czegokolwiek odmówić. W ten sposób Resia posiadała siedem par szelek, cztery pary kaloszy, trzy spluwaczki, cztery brzytwy, jedenaście pędzli do rozrabiania mydła i olbrzymi teleskop. Żywiła się przeważnie sardynkami, roszynkami, paloną kawą, pieprzem tureckim i musztardą. Nauczyła się palić papierosy, a nawet żuła tytoń jak stary turkos⁹.

Tego rodzaju wspaniałe „utrzymanie” zaczęło powoli nie wystarczać Resi. Kundel imponował jej ciągle — zapewne — a teraz, kiedy wymyślał światłocienie i opowiadał, że użyje ją do „pleinairu¹⁰”, od którego świat „zdesenieje”, Resia zapomniała o pieczeniu jabłek i cała zaszuchana kucała u kolan Dyńdzia wyciągniętego niedbale na koszlawym krzeselku. Ale... Dyńdzio od pewnego czasu przynosił już same słoiki musztardy, a w dzień urodzin Resi obdarzył ją męskim siodłem, więc dziewczyna powoli zaczynała się niecierpliwic. W dodatku Dyńdzio, w celu rozświetlenia umysłu swej Fryne i uczynienia z niej Lais¹¹ miasta — przynosił znużonej dziewczynie tłumaczenia rozmaitych francuskich romansów, w których imaginacja autorów wraz z potwornością fabuły walczyła o lepsze. Resia czytała te opisy wonnych buduarów, wypikowanych atlasem, tonących w półcieniu sypialni, nocnych lamp kryształowych, migocących w przestrzeni.

Dyńdzio dopełniał reszty. Wieczorem puszczał wodze swej sentymentalności i tak we dwoje wśród brudu, porozlewanej wody, połamanych grzebieni i dziurawych krzesel, galopowali myślą w sferę woni, połysku jedwabiu i bladych barw abażurów.

Wreszcie doszło do takiego naprężenia sytuacji, iż Resia, zjadłszy dwa słoiki musztardy i trzy stare bułki, włożywszy spódnicę praną przed pięcioma miesiącami — zeskoczyła z sof i stanąwszy w lufciku, powiedziała z mocą:

— Muszę zrobić karierę!...

⁸Fryne — słynna z piękności kurtyzana grecka z IV w. p.n.e. [przypis edytorski]

⁹turkos (daw.) — Algierczyk odbywający służbę w wojsku francuskim. [przypis edytorski]

¹⁰plein air (fr.) — malowanie krajobrazu z natury. [przypis edytorski]

¹¹Lais — imię to nosily liczne greckie kurtyzany. [przypis edytorski]

*

Kiedy te słowa posłyszał wieczorem, Kundel roztworzył szeroko oczy i wyduł wargi.

— Tego ci się zachciewa? — zapytał.

Lecz Resia dnia tego nie była usposobioną do żartów.

Zmarszczyła brwi, zatopiła popękane z odmrożenia ręce w rozczochrane włosy i nie odpowiedziała ani słowa.

— Cóżes się tak nadęła jak pluskwa w maśle? — pytał Dyńdzio.

Milczenie.

Dyńdzio począł się niecierpliwić.

— Chcesz zrobić karierę, a cóż to... mała kariera, jaką masz teraz?

Resia wykrzywiła usta.

— Ojej!... — wyrzekła wreszcie — co mi z tego. Mieszkam jak śledziarka... a czym żyję, to już wstyd powiedzieć...

Dyńdzio machnął ręką.

— To wszystko marność, widzisz, serce to grunt...

Resia zamilkła i znów kiwała się długą chwilę, wpatrzona w odrapane ściany swego pokoju.

— Chciałabym — zaczęła znów powoli — chciałabym mieć dywan na podłodze i atlasową koldrę, i samowar na szafie, i komodę, i firanki, i taką lampę u sufitu z kolorowym szkiełkiem. Aj, aj, o!... to bym chciała mieć!...

Cmoknęła ustami i znów zakolysała się, obejmując nagimi ramionami¹² swe kolana ledwo odkryte cienką spódnicą.

Słaby blask płonącej na stoliku świeczki żółtawą linią oznaczał jej kontury. Miała w tej niedbałej pozie, w tym skurczu całej postaci coś z owych Żydówek tkwiących w piasku pustynnym.

— Och, ty puchu mamy! — wyrzekł wreszcie z pogardą.

Resia wzruszyła ramionami.

— Żebym ja puchem była — to dawno bym z siebie pierzynę zrobiła — wyrzekła sentymentalnie.

— Więc bogactw ci się zachciewa, ty kruku żydowski? — ciągnął Dyńdzio — bogactw? Wschodniego zbytku? Nie wystarcza ci skromny dobrobyt, jakim cię otoczyłem? Dobrze, poznasz więc udrękę bogactwa! Pęknięć w czternaście kawałków, jeśli od dziś za miesiąc, ty cholero azjatycka, nie będziesz mieć tu dywanów... dzieł sztuki i twego samowara bydlęcego na szafie!...

Resia spojrzała na Dyńdzia z niedowierzaniem.

— Diabeł wie, czy to będzie, a tymczasem może byś jutro mi coś przysłał do zjedzenia, bo ta musztarda już mi łokciem wylała!...

— Cicho, córo Izraela! Jutro ci przysłę trzy funty mydła, bo ojciec mi kredę¹³ na mydło otwiera. Pojutrze u nas goście, więc powiadają, że się umyć trzeba...

Resia przysunęła się do krzesła Dyńdzia, nie wstając z klęczek.

— Ty i tak ładny, Kundlu! — wyrzekła, mrużąc oczy i przeginając się jak kotka.

— To się wie! — odparł Kundel, wyciągając swe brudne ręce i kładąc je na wspaniałych ramionach klęczącej u jego stóp Żydówki.

*

W miesiąc później rodzice Kundla wyjeżdżali na letnie mieszkanie.

W domu pozostawał Dyńdzio i stary stróż.

Ojciec po dwutygodniowym na wsi odpoczynku miał powrócić do miasta i objąć nadal swe zajęcia biurowe.

Rano odjechali wszyscy, odprowadzeni nawet na pociąg przez Dyńdzia, który od tygodnia zachowywał się przyzwoicie, prawie bez zarzutu.

Nawet matka zaczęła się łudzić możliwością poprawy. Chciała mu na samym wyjeźdnym zaproponować spowiedź, ale cofnęła się i postanowiła czekać.

¹²ramiony — dziś popr. forma N.lm: ramionami. [przypis edytorski]

¹³kreda (daw., pot.) — kredyt. [przypis edytorski]

Kto wie, co się w tej mózgownicy gnieździło.

Za to ojciec dał się unieść złudzeniu. Przestał nazywać syna „Kundlem”, a natomiast mówił dobitnie „Dionizy”! — lub „synu”! Dał mu trochę pieniędzy, otworzył kredyt u krawca na dwa garnitury letnie i na wyraźne żądanie Dyńdzia sprawił mu pół tuzi- na koszul z poczwórnymi gorsami. Lecz zdziwienie całego domu dobiegło szczytu, gdy Dyńdzio zażądał fularowych¹⁴ chustek do nosa, szkockich skarpetek, *Encyklopedii* Orgel- branda¹⁵ i pasty do zębów. Czym prędzej udzielono mu żądanych przedmiotów i Kundel ostentacyjnie wycierał teraz nos w olbrzymie kolorowe fulary, które zawsze wyglądały mu ze wszystkich kieszeni ubrania.

Skarpetki nosił także — wprawdzie w kieszeni, ale to był już stanowczy zwrot ku lepszemu, i gdy pociąg ruszył, ojciec wychylił się raz jeszcze, aby spojrzeć na Kundla stojącego przykładowo na peronie pomiędzy posługaczami i urzędnikami kolejowymi.

— Stoi, a nawet zdjął kapelusz i ku nam powiewa!... O!... teraz wyciągnął chustkę i ciągle macha!... — mówił biedny ojciec do cisnącej się gromadki — doprawdy wygląda jak porządny człowiek.

— Kto wie! — szepnęła matka — może Bóg go wreszcie raczy... — i ręką opiętą w ciemną rękawiczkę kreśliła w powietrzu znak krzyża... ot... matka!

Tymczasem Dyńdzio, postawszy jeszcze chwilę na dworcu, schował płachtę do kieszeni i szybko skierował się ku domowi.

Wszedłszy do mieszkania, zamknął drzwi na klucz i zaczął systematycznie zdejmować ze ścian obrazy. Zdjęte składał na ziemi jedne na drugich, nie zważając, że ramy wpijają się kantami swymi w płótna i kaleczą cenne oryginały i dobre kopie skrzętnie przez ojca zbierane.

Potem przyszła kolej na dywany.

W gabinecie ojca było kilka wschodnich makat, miękkich, o wytwornych gustownych odcieniach. Makaty te Dyńdzio zerwał ze ścian i nie składając zwałił na obrazy. Po czym rzucił się ku portierom, oberwał je wraz ze strzałami, na których były zawieszane. Jedna ze strzał spadając uderzyła go boleśnie w głowę, lecz on potarł tylko czuprynę i rzucił się do łóżek zdzierać kołdry i poduszki.

Z toaletki matki porwał dwa kryształowe flakony, weneckie lustro, z małego saloniku japońskie maski, sztylety i dwa wypchane ibisy. Z kuchni zwłókł durszlak, patelnię, wałek do ciasta, samowar olbrzymi, mogący pomieścić do czterdziestu filiżanek, worek do piasku, kawał wosku od podłóg i dwie żelazne dusze¹⁶. Pomieszał to wszystko z fajkami ojca, poduszką haftowaną, dziełem rąk siostr, z koszykiem do robót matki, gustowną szyfoniarką, zerwaną ze ściany, i malowaną paterą na bilety wizytowe.

Dopełniwszy tego dzieła, zwałiwszy jeszcze na całą kupę tych przedmiotów cztery wyłacane krzeselka, wschodnie lustra, dwa pufy fortepianowe, prześliczną lampę, biuścik śmiejącego się dziecka, świecznik mosiężny żydowski i kilkanaście sztuk srebra stołowego, usiadł Dyńdzio na tym wszystkim i pogwizdując oczekiwał zmroku.

*

Gdy zmrok nadszedł, dwóch wynajętych posłańców przeniosło na tragach wszystkie te przedmioty do mieszkania Resi. Tragi eskortował Kundel, kroczący z dumą i spoglądający z góry na przechodzących. Wszyscy usuwali mu się z drogi, tylko stary stróż mruczał otwierając bramę, lecz przed podniesioną laską panicza schował się czym prędzej do swej izdebki.

Posłańcy śmieli się, dochodząc do mieszkania Żydówki. Znali oni dobrze Kundla i wiedzieli, że „panicz znów coś ukuł”.

Zapłaceni z góry, wrzucili wszystkie sprzęty do pokoju i życząc „dobrej nocy” — odeszli, śmiejąc się bezustannie.

Kundel zabrał się teraz do urządzenia pokoju Resi, która otworzywszy szeroko oczy, przykucnęła na ziemi, oszołomiona widokiem tyłu nieznanymi dla niej przedmiotów.

¹⁴fularowy — jedwabny. [przypis edytorski]

¹⁵Orgelbrand, Samuel (1810–1868) — polski wydawca i księgarz, znany z publikacji *Encyklopedii powszechnej*. [przypis edytorski]

¹⁶dusza — kawałek żelaza, po rozgrzaniu wkładany do żelazka. [przypis edytorski]

Wreszcie, ośmielając się powoli, wyciągnęła spomiędzy portier poduszki i oszalała z radości, poczęła je ciskać po pokoju.

— Z puchu! aj, aj!... z puchu! — wołała, gniotąc je w rękę i zanurzając twarz w szeszczącą jedwabiem pościel.

Na widok samowaru chwilę zamilkła, po czym podszedłszy ku niemu, z szacunkiem przyklęła i twarz swą rozpaloną do chłodnej blachy przykładając poczęła.

— Same księżne takie nie mają! — szeptała drżącym ze wzruszenia głosem.

Tymczasem Dyńdzio na brudnych, odrapanych ścianach rozwieszał obrazy, wbijając z energią przyniesione w kieszeni haki. W braku młotka posługiwał się marmurowym przyciskiem przedstawiającym uśpioną Dianę. W mdłym blasku świecy zamajaczyła *Elegia* Siemiradzkiego¹⁷, energiczna *Głowa starca* Kotsisa¹⁸ i zabieliło się ciało *Najady* Hennera¹⁹.

Ostatni obraz zwrócił uwagę Resi.

— Goła! — wyszeptała, chichocząc się cicho.

Lecz Dyńdzio pracował ciągle.

Portiery wisiały krzywo, zakrywając drzwi wejściowe. Połowa tkaniny leżała na ziemi, maczając się w strudze wody, płynącej z rozbitego dzbanka.

Na podłodze Kundel porozrzucił makaty, a rozsypane po ziemi węgle trzeszczały za każdym krokiem. Stara sofa została nakryta gobelinem, przedstawiającym Pallas Atenę, a złożone krzeselka stanęły dokoła stołu pokrytego batystową kapą ściągniętą z łóżka jednej z siostrzyczek.

Durszlak, patelnię, walek do ciasta — Resia poustawiała na komodzie wraz z flakonikami kryształowymi i weneckim lustrem.

Zbytkowne wydanie *Pana Tadeusza* poszło dla²⁰ braku miejsca pod szafę. Ten sam los spotkał wyborną kopię z Ary Scheffera²¹ i śliczną broń gallo-romańską.

Wreszcie na łóżko Resi rzucono poduszki oszyte cienką, nicianą koronką i na ciemnym z brudu prześcieradle rozłożono atlasową pąsową koldrę — jeszcze wyprawną matczyną.

Wreszcie Kundel zatarł ręce i czując się znudzony, siadł z nogami na sofce, znacząc ślady błota na twarzy Pallady.

— Masz... coś chciała — wyrzekł, dobywając z kieszeni fajkę i zapalając ją ze smakiem.

A Resia, leżąc na ziemi z włosami rozczochranymi, z policzkami rozpalonymi, tarzała się wśród makat, dotykając co chwila ręką samowaru i żydowskiego świecznika, który o mało ją nie wprawił w szaleństwo.

— Aj! aj!... takie bogactwa!... — mruzczała cmokając.

*

W trzy tygodnie później inna odbywała się scena.

Ojciec Dyńdzia, powróciwszy do miasta, z najwyższym przerażeniem dostrzegł spustoszenia poczynione w mieszkaniu. Co więcej — Kundel od chwili powrotu ojca wcale się w domu nie pokazał. Zawezwana telegraficznie matka przyjechała i z pomocą stróża i owych posłańców odkryła miejsce, w którym mieściły się wyniesione z mieszkania przedmioty. Również domyślano się, że tam, a nie gdzie indziej kryje się zapewne Kundel, obawiając się skutków swego zuchwalstwa.

Rozpoczęło się parlamentowanie.

Kundel, zaatakowany listem ojca, zagroził w razie użycia środków represyjnych strzeżeniem sobie w łeb.

Serce rodziców zadygotało, postanowiono obniżyć kamerton i matka zaproponowała listownie ugodę pokojową.

Kundel odpowiedział zimno i spokojnie, że po głębokim namyśle przychodzi do przekonania, iż rodzice nigdy nie zechcą go uważać za dojrzałego mężczyznę, który wie, co

¹⁷Siemiradzki, Henryk (1843–1902) — malarz polski, mieszkający w Rzymie, tematy do swych obrazów czerpiący ze starożytności greckiej i rzymskiej. [przypis edytorski]

¹⁸Kotsis, Aleksander (1836–1877) — malarz polski, chętnie podejmujący tematy ludowe. [przypis edytorski]

¹⁹Henner, Jean Jacques (1829–1905) — malarz francuski, naśladowca Tycjana. [przypis edytorski]

²⁰dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

²¹Scheffer, Ary (1795–1858) — malarz francuski, przedstawiciel romantyzmu, autor obrazów ilustrujących dzieła Goethego, portrecista. [przypis edytorski]

robi i za każdy swój krok przed Bogiem i honorem odpowie. Że znudzony bezczynnością, powróciłby może na łono rodziny, ale tylko w tym razie, jeśli zapewniona mu zostanie stała miesięczna renta i za zwrócenie zabranych przedmiotów pewna suma pieniędzy.

Kilka dni ciągnęły się te pertraktacje pokojowe, a w miarę czasu rosły pretensje i zachwalstwa Kundla. Matka płakała po kątach, a ojciec targał wąsy, patrząc na opustoszałe ściany, w których tkwiły gdzieniegdzie haki lub zwieszały się porwane liny.

Wreszcie dnia jednego zajechała z hukiem przed dom dorożka i wysiadł z niej Kundel, rozczochrany, obdarty, wychudły. Na samym wstępie uderzył w głowę stróża, który go zdradził i wyjąwszy z dorożki *Elegię*, niebieską szklaną miednicę i potrząsając włosami, które w przeciągu tych tygodni doszły do potwornych rozmiarów, wyrzekł:

— Jestem! Zrobiłem, co mi nakazano. Ponieważ jednak na tym wszystkim ucierpiała najwięcej szacunku godna kobieta — muszę wynagrodzić jej krzywdę i prawdopodobnie się z nią... ożenię!

A spojrzawszy tryumfalnie na zgębionych tymi słowy rodziców, wyszedł powłócząc nogami i pakując ręce w kieszenie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-kundel>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, Nowele, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).